

Kirył Bułyczow

Czarny

kawior

Nie bacząc na stosunkowo niską cenę konserwatywni mieszkańcy miasta Wielki Guslar niechętnie kupowali efektowne puszczyki z barwnym portretem jesiotra i napisem „Czarny kawior”. Sokole oko klienta dostrzegło bowiem również wykonany małutkimi literkami dopisek: "syntetyczny".

Profesor Lew Chrystoforowicz Minc kiedyś tam czytał o uwiecznionych sukcesem badaniach nad syntetycznym kawiolem i wiedział, że w smaku nie ustępuje on prawdziwemu, a jeśli chodzi o wartości odżywcze - nawet go przewyższa. Przy tym kawior syntetyczny miał być absolutnie nieszkodliwy dla zdrowia. Wcześniej jednak nie udało się profesorowi syntetycznego kawioru spróbować. Dlatego właśnie Lew Chrystoforowicz był jednym z trzech mieszkańców Guslaru, którzy nabyli nowy produkt w drodze kupna.

Wieczorem, przy herbacie, profesor Minc otworzył puszkę, posmarował kawiolem kanapkę. Ostrożnie odgryzł kawałek, zżuł i doszedł do wniosku, że kawior rzeczywiście ma walory smakowe, jest odżywczy i absolutnie nieszkodliwy. Ale czegoś mu brakuje... Odłożył więc nadgryzioną kanapkę i oddał się rozważaniom nad problemem ulepszenia syntetycznego kawioru. Potem doszedł do wniosku, że nie bodzie się tym zajmował - kawior wynaleźli ludzie na pewno nie głępsi od niego, którzy swe eksperymenty doprowadzili do rozsądnych granic.

- Nie - powiedział głośno. - Konkurować ze sobą nie będziemy. Ale...

Tu wstał od stołu, wziął pincetką ziarenko kawioru, położył na szkiełku przedmiotowym i usiadł przy mikroskopie. Oglądając i preparując ziarenko prowadził dalej głośne rozważania sam ze sobą - było to przyzwyczajenie, będące skutkiem życia w samotności.

- Rutyniarze - mamrotał. - Kłapki na oczach. Kawior wynaleźli. Jutro wynajdziemy kurze jajko. Co za dziwna maniera kopiować naturę i zatrzymywać się w pół drogi.

Następnego dnia profesor Minc kupił w sklepie zoologicznym nieduże akwarium, nalał do niego wody z dodatkiem różnych środków, postawił elektryczne słoneczko, nad akwarium powiesił lampy radonową i promiennik ultrafioletu, podłączył czujniki i termometry i zajął się innymi problemami. Po dwóch tygodniach śmiała myśl profesora wydała pierwsze owoce.

Ziarenka kawioru - co prawda nie wszystkie - powiększył się zauważalnie i wewnątrz, przez syntetyczną błonkę, z której zmył się nieszkodliwy czarny barwnik, można było zobaczyć zwinięte w kłębuszek embriony.

Po upływie następnego tygodnia, kiedy - rozerwawszy błonki małutkie, centymetrowe strzałki narybku zakłębiły się w akwarium, uradowany, acz powściągliwy w ocenach profesor udał się nad mały, pod jesień prawie wyschnięty, stawek za cerkwią Paraskewy Piatnicy i wlał do niego zawartość akwarium.

Był jasny, nieco wietrzny dzień wiosenny. Młodziutkie listki dopiero co pojawiły się na brzożach, żabia ikra gronami wylęgała się przy brzegu. Minc wyjął ikrę ze stawu, a potem, tuląc akwarium do piersi, wyszedł na szosę i zatrzymał wywrotkę.

- Niech mi pan odleje trochę benzyny! - poprosił profesor uprzejmie. - Niedużo, ze dwa litry.

- Czego?!

Zdziwiony kierowca patrzył z góry na tęgiego starszego mężczyznę w zamszowej marynarce, opinającej krągły brzusek. Mężczyzna podsuwał mu pod nos akwarium i żądał benzyny. - Mam ogród - powiedział łysy. - Robactwo oblażło. Truję. Dajcie benzynki.

Otrzymałą benzyną (za takie pieniądze, jakby to nie była benzyna, a perfumy „Krasnaja Moskwa” profesor wlał do stawku. Zdawał sobie sprawę, że postępuje jak wandal, ale waga eksperymentu była tak wielka, że dobro stawku musiało zostać odsunięte na plan dalszy.

Profesor podkarmił syntetycznie jesiotrzęta nie tylko benzyną. Kiedyś Udałow, z dziada pradziada mieszkaniac Wielkiego Guslaru, spotkał Minca na peryferiach miasta, gdzie tkalnia sztucznego jedwabiu wpuszczała do rzeki Guś kolorowe strużki mętnej cieczy. Na oczach Udałowa profesor zaczerpnął ze strużki pełne wiadro i potaszczył je do miasta.

- Co pan robi, Lwie Chrystoforowiczu? - zdziwił się Udałow. Przecież to ścieki!

- No i świetnie! - odpowiedział wcale nie speszony profesor. Im gorzej, tym lepiej!

Produkty, które gwiazdnymi nocami profesor Minc wlewał do stawku za cerkwią, był nader różnorodny - a przede wszystkim podejrzane z wyglądu i obdarzone obrzydliwym zapachem. Ludzie, którzy z przyzwyczajenia chodzili do pracy drogą koło stawku, nie mogli się nadziwić, co dzieje się z malutkim zbiornikiem wodnym i zaczęli obchodzić stawek z daleka. Żaby także z niego uciekły.

Pewnego upalnego czerwcowego dnia, kiedy dalekie powiewy nadszyciągającej burzy poruszały ciężkie od zapachu bżów powietrze, profesor przyprowadził nad stawek swojego przyjaciela, Saszę Grubina. Profesor niósł podrywko i wiadro. Grubin drugie wiadro.

Na Grubinie stawek zrobił żalozne wrażenie. Trawa na jego brzegach uschła, woda była bura i mętna, bez śladów jakiegokolwiek życia.

- Co się dzieje w przyrodzie - powiedział Sasza, stawiając wiadro na trawie. - Kłęska ekologiczna. Przemysłu w okolicy niby nie ma, a stawek jednak umiera. I pachnie jakoś nieprzyjemnie...

- Gdyby pan tu był wczoraj wieczorem... - uśmiechnął się profesor. - Wylałem litr kwasu azotowego, wiadro mazutu i wsypałem woreczek sproszkowanego azbestu.

- Po co? - zdziwił się Grubin. - Przecież sam pan niedawno rwał włosy z głowy nad sytuacją w przyrodzie!

- Rwałem włosy z głowy - to nie to określenie - odpowiedział Minc. - Dla mnie to po prostu tragedia...

- Teraz to już nic nie rozumiem.

- Zaraz pan zrozumie, uspokoił go Minc i wyjął z kieszeni paczuszkę która rozsiewała wyjątkowo paskudny odór. - Zdobyłem to z najwyższym trudem - poinformował Grubina - nie chcieli dać...

- A co to znowu?!

- Ach, drobiazg - powiedział profesor i zawartość paczuszki wrzucił do stawku.

I w tym momencie woda w nim zakipiała, jakby wetknął weń rozpalony pogrzebacz. Umiarkowanej potworności rybiska, których istnienie w stawku wydawało się niemożliwe, rozpaczliwie walczyły o niejadalne pożywienie. Grubin odskoczył.

- Wiadro! - krzyknął Minc, podnosząc z ziemi podrywko. Niech pan mocno trzyma!

Zaczął wylapywać ryby i wrzucać je do wiader. Po trzech minutach były pełne. Kłębiły się w nich młode, wylupiastookie jesiotry.

Parę sztuk zostawimy tu - zdecydował Minc po zakończeniu operacji. - Dla kontroli i oczyszczenia stawku.

Po drodze do rzeki Guś Lew Chrystoforowicz tłumaczył Grubinowi istotę śmiałego eksperymentu:

- Żułem ten syntetyczny kawior i dumałem: jak stereotypowo myślą nasi Apollinowie. Kawior jest drogi i smaczny. No to wynaleźli tańszy i gorszy. W rezultacie żaden postęp! Bo postęp jest możliwy przy odwadze myślenia, śmiałości zderzania paradoksów. To właśnie moja cecha - cecha prowincjonalnego Marsjasza. Jeżeli jest syntetyczny kawior, to co z syntetycznymi jesiotrami?

- Nonsens - powiedział Grubin.

- Zgadza się. Nonsens. Pod warunkiem, że nie popatrzyś do wiader, które niesiemy... W porządku, myślałem więc dalej. Być może ja, przy moim wyjątkowym talencie, potrafię wyhodować z syntetycznego kawioru syntetyczne ryby. Ale po wy? I tu mnie olśniło! Dla Sprawy!

- Dla jakiej Sprawy? Wodę zatruwać?

- Myślisz niby poprawnie, ale bez polotu - odpowiedział profesor. - Nie truć, ale ratować! Jeżeli wyhoduje syntetyczną rybę, to ona będzie odżywiać się syntetycznym żarciem. Czyli tym, co prawdziwym rybom w stawach i rzekach do niczego się nie przydaje. Głównym surowcem do produkcji syntetycznego kawioru są pochodne ropy naftowej. A czego jak czego, ale tego świństwa jest w naszych zbiornikach wodnych więcej niż trzeba. To wszystko znaczy, drogi kolego, że jeżeli powstanie syntetyczny jesiotr, to będzie się on żywił ropą naftową i innymi paskudztwami, które trafiają do rzek. To genialne odkrycie otworzyło nowe horyzonty... Pozostało tylko znaleźć potwierdzenie mojej hipotezy w praktyce, ale dochowałem się krzepkich rybek, nie tylko z wielkim upodobaniem ćpających mazut i kwasy, lecz także przyzwyczajonych do najobrzydliwszych produktów chemii organicznej i nieorganicznej, jakie trafiają się w zbiornikach wodnych. Rzeczywiście, na pewien czas zatrułem stawek przy cerkwi. Ale za miesiąc woda będzie w nim czysta jak łza. I taka woda będzie też w naszej rzece.

Przyszli na miejsce. Niedaleko od fabryki mebli i tkalni sztucznego jedwabiu, które wzbogacały wodę rzeki smugami ścieków, łączącymi się wdzięcznie z tęczowymi plamami z pobliskiej bazy samochodowej, Grubin - do głębi wstrząśnięty geniuszem profesora - zdjął buty, włożył do wody i wychlupnął wiadro z jesiotrzętami.

- Hej! - krzyczeli z mostu siedzący tam smarkacze. - Wędkarze na odwrót! Kto tak robi!

Grubin odebrał od Minca drugie wiadro z podrastającymi rybimi potworami i też wychlupnął je do wody. Widać było, jak wygłodniałe ryby rzuciły się na plamy mazutu i strugi ścieków.

W drodze powrotnej Grubin zapytał: - A jeść się te jesiotry da?

- Niech ręka boska broni! - wykrzyknął profesor. - Ale po oczyszczeniu naszych rzek będzie w nich taka obfitość prawdziwych jesiotrów, że kawioru najemy się do upojenia!

- Trzeba by podzielić się doświadczeniami, zawiadomić Moskwę...

- Nie uwierzą - uciał profesor. - Mnie bardzo rzadko wierzą. Niech się najpierw nasze jesiotry wykażą.

Grubin, człowiek o wiele od profesora praktyczniejszy, udał się następnego dnia do redakcji gazety „Sztandar Guslaru”, aby pogadać ze swoim przyjacielem, Miszą Standalem. Ten obejrzał oczyszczony dokładnie w ciągu doby stawek przy cerkwi Paraskewy Piatnicy, popatrzył, jak młode jesiotry z zapalem żrą olej napędowy, którym karmi je Grubin, wpadł w zachwyt i wymusił na redaktorze naczelnym zgodę na opublikowanie - póki sprawa się całkowicie nie wyjaśni - następującej treści ostrzeżenia:

„Uwaga wędkarze!

W ramach eksperymentu wpuszczono do rzeki Guś specjalne urządzenia oczyszczające wodę z ropy innych zanieczyszczeń. Dla celów praktycznych urządzeniom tym nadano kształt ryb Jesiotrowatych, które w rzeczywistości nie występują w naszych zbiornikach wodnych. Jeżeli urządzenie tego typu znajdzie się w sieci lub zostanie złapane na wędkę, prosimy o niezwłoczne wrzucenie go z powrotem do wody. Spożywanie takiej ryby grozi ciężkim zatruciem! Urządzenia oczyszczające charakteryzują się wyraźnym zapachem kwasu i nafty”.

Kiedy profesor przeczytał notatkę, zauważył tylko:

- Naiwny! Gdzie mój jesiotr da się złapać na wędkę! Dla niego robak to trucizna.

Mieszkańcy Guslaru szybko przywykli do widoku wyrosłych przez lato potężnych rybiszcz, żerujących przy bazie samochodowej czy fabryce. Jesiotrom, które zostały w stawku, także przyszło zmienić miejsce pobytu - przeniesiono je do rzeki, ponieważ karmienie ich stało się zbyt kłopotliwe. A i stawek dawno zrobił się za ciasny.

Pod jesień przyjechała z obwodu komisja, sprawdzająca efektywność oczyszczenia zbiorników wodnych przy użyciu jesiotrów. Komisja była nastawiona sceptycznie. Minc, który tego właśnie się spodziewał, ukręcił z wierzby fujarko i, nie bacząc na zdumione uśmiešky kolegów, udał się nad rzekę, wygrywając prościutką melodyjkę. Jedynie Grubin domyślił się, że profesor robi za nieszczęsnego Marsjasza. Rzeka Guś płynęła wśród zieleni, wzbudzając zachwyt kryształową czystością swej toni. Czysta była nie tylko dzięki jesiotrom. Od miesiąca wstrząśnięci bajecznymi rezultatami eksperymentu generałowie guślarzkiego przemysłu przestali wlewać do rzeki brudną wodę i inne świństwa.

Dyrektor bazy samochodowej - dawniej zacięty wróg czystości, a teraz honorowy przewodniczący Towarzystwa Ochrony Przyrody - oczekiwał komisji nad rzeką. Na oczach wszystkich napelnił wodą szklanekę i podniósł ją ku słońcu.

- O pięć procent czystsza niż w Bajkale - oznajmił dyrektor bazy.

- Można sprawdzić laboratoryjnie - dodał po chwili.

- W porządku - odparł przewodniczący komisji. - Doskonale. A gdzie są te rzekome jesiotry?

Na twarzy dyrektora odbiło się zmieszanie, ale był on człowiekiem prawdomównym, więc szczerze odpowiedział:

- Jesiotry się was nie doczekały. Odpłynęły. Profesor Minc smętnie zaświstał na fujarce.

- To znaczy wcześniej były, a teraz się zmyły? - powiedział przewodniczący komisji.

- Przedwczoraj widziałem ostatniego - odpowiedział dyrektor. Normalna sprawa.

- Nienormalna.

- Tu już nie było nic do żarcia! To co miały robić? Szybciutko wpuści się prawdziwe.
 - Taak... - uśmiechnął się przewodniczący komisji. - Były i nie ma...
 - Teraz to ich trzeba szukać w Północnej Dżwinie - oznajmił dyrektor. - Posłaliśmy im nawet ostrzeżenie, żeby nie wylawiali...
 - A z Marsjasza zdarli skórę - niezrozumiale dla wszystkich poza Grubinem - odezwał się profesor Minc.
 - To znaczy, że jechaliśmy, traciliśmy czas i państwowe pieniądze - w głosie przewodniczącego słychać było groźbę. - I co zobaczyliśmy?
 - Rezultaty udanego eksperymentu - powiedział Minc. - Tak udanego, że jakby go wcale nie było...
 - No i woda jest czysta! - wykrzyknął dyrektor bazy samochodowej.
 - Za to wyrażamy podziękowanie.
- Zapadło niezręczne milczenie. Wszyscy zrozumieli, że czas się pożegnać... Bo i co tu da się zrobić?
- I nagle z oddali dobiegł warkot motorówki. Dyrektor bazy zmarszczył czoło. W mieście Wielki Guslar ustanowiono niedawno przepis, zabraniający używania motorówek.
- Pasażer łódki zobaczył ludzi na brzegu, ostro skręcił i motorówka utknęła dziobem w mule.
- Lekarza! - zawył z łódki dżentelmen w panamie i džinsach. Przyjaciel mi się struł!
 - Czym się struł? - zainteresował się Minc.
 - Złapaliśmy wczoraj rybkę. Rano się podpiekło... - A duża była ta rybka? - zapytał typa Minc.
 - Nie... Skąd...Nieduża. - Jesiotr?
 - A skąd pan wie? - dżentelmen w panamie nagle spłoszył się i zaczął wycofywać w stronę dzioba motorówki, wyraźnie zamierzając odbić od brzegu.
 - Miała tak z półtora metra? - zapytał domyślnie dyrektor bazy. Głuszyliście dynamitem?
 - Ludzie! Nie bądźcie małostkowi! Tam człowiek kona!
 - Żeby nie poczuć zapachu kwasu i nafty - głosem pełnym zadumy powiedział Minc - trzeba zażyć potężną dawkę alkoholu... - Ależ my troszeczkę...
 - Tak więc, szanowna komisjo - zaproponował dyrektor od samochodów - namawiam do podjęcia wycieczki na miejsce postoju tych kłusowników i zaznajomienia się z doczesnymi szczątkami syntetycznego jesiotra, który niestety nie zdołał daleko odpłynąć od swego rodzinnego gniazda. Po drodze zabierzemy lekarza i milicjanta...
 - Tam została tylko głowa - z przerażeniem wymamrotał typ. Myśmy ją zakopali.
 - Wystarczy głowa - przerwał mu dyrektor. Członkowie komisji wahali się.
- Marsjasz spokojnie grał na fujarce.
- Nie musimy tam jechać - powiedział Susza Grubin. - Nie musimy.
- I wskazał palcem na rozlewającą się za rufą łódki benzynową plamę.
- Nagle wszyscy zobaczyli, jak ogromne rybsko z długim, odrobinę zadartym pyskiem, pożera ową plamę, szeroko otwierając paszczę.
- No i co? - zapytał Grubin wpadając wieczorem do profesora. Nie zdarli skóry?
 - Co się odwlecze, to nie uciecze - z filozoficznym spokojem odpowiedział Minc.